



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60,
kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.
Ekspedycya główna w księgarni wydawcy
Ulica Nowy-Świat Nr 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1
sgr. 20.

Z poezyi Heinego

W przekładzie Adama Mielezki.

POWRÓT

XXXII.

Dni pacholących uspijony grobie,
Kolebko wspomnień owianych troską —
Myśl mą ostatnią zwracam ku tobie:
Bywaj mi zdrowa, rodzinna wiosko!

Żegnaj mi progę, po którym biegłem,
Śladów jej nóżek goniąc poloty,
Tu po raz pierwszy ja was spostrzegłem...
Kędy dziś żegnaj, pełen tęsknoty.

Lepiej, bym nigdy ciebie nie poznał,
Wszechwładna serca mego królowo!
Nigdy-bym cierpień takich nie doznał,
Nie dręczył dzisiaj taką rozmową.

Alem ja dotąd mileżał jak kamień,
Okryty głuchą wspomnień żalobą,
Pragnąłem tylko żyć wśród omamień,
Jednem powietrzem oddychać z tobą.

Ty mię wyganiaasz ostreimi słowy...
Czyliż ten wyrok niczem nie zmięknie?
Czyliż nie będzie trapić twej głowy
Myśl, że me serce mało nie pęknie!

Pójdę i zginę jak ptak przelotny,
Gnany wśród tłumów dolą zdradziecką,

Póki nie zawrę powiek samotny...
Marząc o tobie, o! moje dziecko!

Dni pacholących uspijony grobie,
Kolebko wspomnień owianych troską —
Myśl mą ostatnią zwracam ku tobie:
Bywaj mi zdrowa, rodzinna wiosko!

Dwaj myśliciele francuzcy

Z XVIII WIEKU.

(Dalszy ciąg).

Voltaire dawno już pragnął być w Paryżu, którego nie widział od lat trzydziestu, to jest od czasu wystawienia trzech sztuk, we współzawodnictwie z Crébillonem starszym napisanych: *Semiramida*, *Orestes* i *Rzym ocalony*. Wahanie się schorzałego starca przewyciężyła pani Denis; skłoniło go zaś stanowczo wystawienie *Ireny*, ostatniego utworu muzy tragicznej: człowiek, który z całego ogromu swojej działalności piśmienniczej najwyższe wynosił tragedjopisarstwo, chciał ujrzeć *Irenę* na scenie najpierwszego teatru francuzkiego. W Lutym 1778 r., otoczywszy podróż tajemniczością, bez której cel jej mógłby nieosiągniętym pozostać, wyjechali państwo z Ferney do stolicy Francyi. W drodze tajemnica się wykryła i wieść o podróży Voltaire'a nadbiegła do Paryża. Wjazd był pochodem tryumfalnym: lud wyprzągł konie i własnymi rękoma ciągnął poetę i filozofa przez ulice miasta. Przed oknami mieszkania Voltaire'a w okolicy Saint-Sulpice, przez kilka dni panowało ustawiczne zbiegowisko; w akademii witano go ja-

ko nestora, w teatrze radosne okrzyki, wyrażające hołd i przypominające dzieła dokonane, nie miały końca. W pierwszych dniach pobytu skoro tylko spostrzeżono go na ulicy, tłum chylił mu się do nóg; ściskano go, całowano po rękach; byli nawet tacy, którzy kraj szaty do ust ponosili. Zbawca Calasów, nieprzyjaciel przesądów i nadużyć, obrońca niezbędnej dla człowieka swobody życia, wyzwoliciel duchowy społeczności ludzkiej — dostąpił tryumfu jakgdyby był zwycięzcą w wojnie szczęśliwie zakończonej. Istotnie, taką wojną była jego działalność; a tryumf, jawny, publiczny, niepowstrzymany, w tym samym Paryżu, do którego Voltaire jechał z obawą: czy doń wpuszczonego będzie — stanowiął przepowiednię blizkiego już przewrotu, pierwszy grzmot przed burzą. Voltaire nie jest postacią sympatyczną; ale na tle tego publicznego, szczerzego uwielbienia i czci, jakimi go powitał Paryż, nietylko sympatycznie, ale pięknie zarysowuje się postać starca, całującego dłoń Turgota, który pierwszy Francję państwową z oków średniowieczności rozkuwając zaczął, lub błogosławiącego wnukowi Benjaminowi Franklina, ówczesnego posła, walczącej o swą wolność, rzeczypospolitej amerykańskiej, słowami: *God and liberty*.

O ile pamięć nas nie zawodzi, zaden z pisarzy nowoczesnych tak świetnie z ziemi nie schodził jak Voltaire: „Chcę chyba, żebym umarł z rozkoszy“ powiedział raz do Condorceta. Jakoż wątłem już bardzo starcowi te wszystkie powitania, przyjęcia i hołdy nie miało się do śmierci przyczyniły. „Uduszono go różami“ jak dowcipnie ktoś powiedział. W Maju osłabienie z dniem każdym wzrastało; użycie opium w nadmiernej ilości — a jak wieść współczesna niosła, zażycie, wskutek pomyłki aptekarskiej, laudanum — było bezpośrednią fizyczną przyczyną śmierci, która w d. 30 Maja 1778 r. zabrała najznakomitszego z pisarzy francuzkich. Poprzednio, w chwili niebezpieczeństwa, Voltaire złożył był księdzu dysponującemu go na śmierć deklarację, że umiera w religii kato-

lickiej: nie był on jej wyznawcą, ale chciał dla prochów swoich spokoju. Wielu tak ludzi umierało, umiera i umierać będzie, i nie potrzeba być Voltaire'm, aby pragnąć na chwile pośmiertne równouprawnienia z całą nieprzebraną gromadą istot ludzkich. Voltaire nieraz dopuszczał się niepotrzebnych, godności jego ubliżających, wstrętnych komedij z duchowieństwem; ostatniego jednak aktu pozornej jego abdykacji z praw i dóbr umysłu nie można prostą tylko komedią nazywać. Nie było podówczas pogrzebów bezwyznaniowych, i człowiek umarły, jeśli nie umarł w zgodzie z Kościołem, mało wyżej cenionym był od psa zdechłego. W danym wypadku duchowieństwo nie porzuciło na owej deklaracji i zażądało wyraźniejszych zeznań: żądaniem swem tego tylko dokazało, że gdy przyszła rzeczywistość ostatnia godzina, Voltaire, jak żył, tak i umarł nieprzejednanym wrogiem Kościoła, — a niemałym byłoby to tryumfem, gdyby go jako umierającego w przejeździe i zgodzie przedstawić było można: własnego więc nie rozumiano interesu, wymagając zbyt wiele. Uznaniem dla istniejących powag, władza ich ówczesna była jeszcze tak olbrzymią, że ministrowie zakazali nawet pisać i mówić o śmierci Voltaire'a i towarzyszących jej okolicznościach. W Paryżu samym zwłok po chrześcijańsku pochować nie było wolno; dozwolono tylko cichaczem przewieźć je do opactwa Scellières, gdzie bez obrządku głośnego, bez uroczystości żadnej, złożonemi zostały. Dopiero dekret w d. 30 Maja 1791 r., przez Zgromadzenie Konstytucyjne wydany, nakazał przewiezienie ich do Paryża, do kościoła S-tej Genowefy, i przekształconego na Panteon francuzki.

Im bujniejszą, bogatszą w siły i popędy jest natura człowieka, tem też trudniejszym sąd o niej i o zaszczerpionym na niej duchu. Voltaire jest jednym z najzdolniejszych, najoryginalniejszych, najwszechstronnie rozwiniętych, najwszechstronnie działających umysłów ludzkich i sto lat też jeszcze nie wystarczyło mu na uzyskanie u potomnych rzeczywistego wymiaru sprawiedliwości. Genetyczny związek Voltaire'a z Wielką Rewolucją francuzką zawisną nad nim fatalnie, powołując do trybunału pośmiertnego zamiast rzeczywistych świadectw przeróżne namiętności, religijne, społeczne i polityczne, które, nienawidząc skutków nienawidzą i pierwszej ich przyczyny i żywego źródła. Sam ogrom działalności piśmienniczej utrudniał i utrudnia zrozumienie pisarza, a przez niego i człowieka. Nienawiść obrażonego współczesnie interesu pochwyciła nic ślepiej, bezświadomej tradycyi i przekazała ją pokoleniom następnym. Zakryto przed oczyma tłumu dobre uczynki, uczciwą gorliwość, bezinteresowną dążność Voltaire'a — i ukazano go tylko jako nieokiełzanego niczem egoistę, chciwca, pyszałka i zarozumiałca. Nieznając pism jego poważnych, których odczytanie niemałego trudu wymaga, na podstawie doraźnych, niejako dziennikarskich, artykułów ukazano go jedynie jako umysł płytki nauki poważnej, wiedzy głębszej pozbawiony. Lekceważąc jego pisma i składane w nich wielokrotnie wyznanie wiary deistycznej, okrzyczano go jako ateusza, — jego, który ateizm za wpływ nierozumu uważał. Widząc w jego tragediach i innych poematach jedynie tylko dowcip gryzący lub tendencję nienawistną, nie chciano go nawet nazwać poetą. Mnóstwo zaślepiania, fałszu i niesprawiedliwości, złożyło się na to, aby w przekonaniu powszechnem wielu bardzo społeczeństw, a zwłaszcza naszego, Voltaire'a uczynić czemś w rodzaju legendowego smoka, zasadzonego i czyhającego na ludzkość w jaskini zepsucia i fałszu. Zaprawdę, my najmniej mamy powodu go miłować; ale jako ludzie winniśmy jedynie bezwzględny na świecie obowiązek prawdy i sprawiedliwości względem niego spełnić. Prawa umysłu są nieprzedawnialne — a nie tak człowieka nie hańbi i nie tak mu nie szkodzi jak stronienie od prawdy. Condorcet przesadził w pochwałach; ale czyż niema środka między pochwałą a potępieniem — środka w zwykłym biegu rzeczy ludzkich, wytykającego wszystkiemu należyta normę?

Nie — Voltaire nie był potworem: był tylko człowiekiem, jak wszyscy ludzie ułomnym i nienależącym do rzędu najlepszych. Życie jego dalekie od doskonałości, działalność też niedoskonałą wy-

dało; w wyższym niż gdzieindziej stopniu, tutaj, przy tej osobistości, pomiędzy tem, co rzeczywiście było, a tem, co być mogło, stanęła niedoścignłość ideału, — prawo życia ludzkości. Brak charakteru, lekkość obyczajów, wiele szkodzą pamięci Voltaire'a; przyćmiewają świetność jego jako potężnego, swobodnie rozposcierającego się po świecie umysłu. Obok poważnych, ku sprawie ogólnej skierowanych dążeń i trudów, w życiu jego występują błahostki niemal dziecinne, zamiary i czyny samolubne; w działalności talentu przewijają się frazki i niegodne wyższego pióra małości; obok miłości człowieka *in abstracto* dysze wielkie nienawiści do ludzi konkretnych, nieuzasadnionej, niesprawiedliwej; miłość prawdy ogólnej, jako ideału unoszącego się nad światem, nazbyt pomieszana jest z miłością prawd drobnych, przez samego siebie wypowiedzianych, i dlatego drogie; konieczna na ziemi miłość siebie, która trzyma osobistość ludzką w całości i nie daje się jej rozprężyć i rozwiać w przestwory nieokreślonej, rozhułkanej po stepach niebieskich, miłości wszystkiego — ta prawowita i niezbędna miłość samego siebie — w Voltaire'ze przekraczała konieczną miarę: lecz taka to już właściwość piszących, że, przywiązując się do pióra, nazbyt cenią rękę, która niem władą. Nie miał Voltaire szlachetnej bezinteresowności; chciwie groźną garnął; chciał mieć jaknajwięcej i chciał jaknajwięcej znaczyć; ale mówiliśmy już, że tego, co miał, nie miał tylko dla samego siebie, a i to, przez co tak wiele znaczył na świecie, na usługi innych oddawał. — Nie miał w duszy swej bohaterstwa; pochlebiał, gdzie nie mógł przeskoczyć, podfaził, i sam Condorcet przyznaje mu raczej porywczosć temperamentu niż cnotę męstwa, którą w charakterze złożoną była: uporność jednak i stałość wypowiedzianych przekonań nawet surowego, najsurowszego może ze wszystkich sędziogo — mówimy tu o sądach niepodległego rozumu, a nie namiętności niewolniczej — Anglika Carlyle'a, skłoniła do przyznania Voltaire'owi godności bohatera dziejowego. — Ostatecznie nie jest Voltaire czystym, moralnym, nie odpowiada ideałowi człowieka — nie jest jednak potworem człowieczeństwa i raczej potwornością w naszym wieku jest ukazywanie go w tem świetle.

Nieśmiertelnością Voltaire'a na ziemi — jest jego wielkość pisarska. Posiadał on więcej dowcipu niż geniuszu, ten dowcip jednak był w nim genialnym. Przebiegał w nim miarę szczęśliwy bogacz- użytkownik, ale z pomocą jego i przezeń stał się istotnym mocarzem w swoim społeczeństwie, w oświeconych warstwach wszystkich prawie narodów Europy. Nawet w jego poezyi więcej znaczy dowcip niż rzeczywisty ogień twórczy, wprowadzający z głębin ducha przez piękno i dla piękna istniejące pomysły: zaprzeczać jednak Voltaire'owi rzeczywistego poetyckiego talentu, wolno tylko rozpasanym na nienawiść i prześladowanie umysłem. Mogłoby współcześni płakać przy niejedynej scenie jego dramatów, gdyby w nich nie więcej prócz dowcipu i gładkich wierszy nie było? Wspomniane wyżej ody należą do rzędu najlepszych utworów poezyi powszechnej. Umiał Voltaire odczuwać człowieczeństwo ogólne we własnej swej piersi, umiał niem obdzielać tworzone przez siebie charakteru ludzkie; jeśli jednak do należytej, Szekspirowskiej, ich pełni i doskonałości nie doszedł, przyczyną tego, zdaje nam się, jest niedość silny polot fantazyi, zbyt jej przez rozsądek przytłoczenie i zamiłowanie dążności obcych sztuce, w rzeczach zaś miłości jednostkowej — sceptycyzm przez obyczaj całego życia utrwalony.

Nie jako poeta wszakże, ale jako myśliciel, publicysta i filozof praktyczny, Voltaire trwałe w panteonie ludzkości miejsce sobie zapewnił. Jego walka z przesadami, wytykanie średniowiecznych nadużyć, stawanie w obronie praw człowieka, uciśkanego przez człowieka, praw jednostki, jęczącej pod ogromem różnych nieprawidłowych zespołów ludzkich, praw myśli, uciemiężonej przez zabobon; wskazywanie ludziom drogi do życia, przez światło a nie przez ciemnotę, — do postępu przez życie, a nie przez śmierć; pożądanie i pręczenie lepszej organizacji społecznej; duch tolerancji, na wskrós pisma jego przejmujący; filozofia zdrowego życia ziemskiego wypromieniająca się z jego pism: oto jego tytuły — nie wzruszy ich nic,

dopóki w sądach o tym nadzwyczajnym człowieku, rozum jeszcze głos mieć będzie.

(Dalszy ciąg nastąpi)

POLĄCZENI NA ZAWSZE

POWIEŚĆ

PRZEZ

Elizę Polko

przełożyła

Ewelina Kłoskowska.

(Dalszy ciąg).

— Tak się to przedstawia, drogi panie, pani Górzyczka należy wprawdzie do najbardziej nerwowych kobiet, jakie mi się kiedykolwiek spotkać przytrafiło, ale w rzadkim stopniu umie panować nad sobą. Tu, jak się teraz zdaje, przeziębienie jest przyczyną gorączkowego stanu, w jakim ją przypadkiem tylko zastałem, gdyż nie byłem wcale wezwany.

— Ale jak może mąż taką rzecz lekceważyć — zawołał Wacław. — Jak widzimy, żąda na seryo, aby była na balu.

— Ma słabość do stosunków arystokratycznych — odpowiedział doktor. Lubi, aby żona występowała świetnie; lubi, gdy ją wielbią, podziwiają, gdy mu jej zazdroszcza. Jestto przyjemność swego rodzaju.

W kilka dni potem Stroński otrzymał od Górzyczkiego zaproszenie na wieczorek muzyczny.

Zatem były to rzeczywiście kobiece grymasy, skoro już jest znów zdrowa, myślał Wacław, czytając ów list.

— Czy pójść? — zapytał się sam siebie po chwili. Zastanowił się nad tem i zawahał: co mu zrobić należało. Chciałbym ją przecie raz widzieć w jej własnym domu — pomyślał — i przyjął zaproszenie.

— Czy jest wiele gości? — spytał Wacław doktora, z którym właśnie zszedł się w przedpokoju.

— Nie — odrzekł tenże — dzisiaj jest tylko tak zwane kółko poufne, będziemy zabawiać się muzyką i grą w karty. Mnie, niezasłużona sława dobrego gracza przykuwa do zielonego stolika gospodarza, ale pan będziesz słyszał wcale ładne rzeczy, będziesz podziwiał grę księcia na fortepianie, który zasłużenie zjednął sobie sławę wirtuoza i może, ale tylko może, będziesz pan słyszał panią Górzyczką śpiewającą.

— Czyż śpiewa jeszcze? — spytał żywo Wacław. — Jeszcze! — powtórzył doktor — toż to przecie młoda kobieta!

Rumieniec oblał twarz Strońskiego. Jakże przeszłość wydawała mu się niepojęcie odległą! — Chciał tylko powiedzieć, że dawniej chwalono bardzo jej głos, a że teraz nikt nic nie mówił o jej śpiewie, myślałem, że zarzuciła muzykę — rzekł z pomieszaniam.

— Souvent femme varie, to przecie znane przysłowie — dodał siląc się na uśmiech.

— Nikt panu o jej śpiewie nie mówił — rzekł doktor — bo rzadko śpiewa przy gościach, a nigdy w liczniejszym towarzystwie. Nawet dla wielu jej głos jest tylko miłym małym głosikiem i dobrze, że się z nim nie popisuje.

— Sądę przecie, że dzisiaj będzie śpiewać — dodał — księżę, który należy do najzapaleńszych wielbicieli muzyki, pewnie nie zaniedba prosić jej o to.

Rozmawiając, doszli do drzwi tak zwanego małego salonu; lokaj rozwarł szeroko podwoje i oznajmił ich przybycie.

Zgromadzone się naokoło stołu przy herbacie; księżca tylko jeszcze brakowało. Górzyczki przyjął nowoprzybyłych ze zwykłą sobie grzecznością i poprowadził do żony. Owdowiła pani prezydentowa Krzeczowska, kuzynka pana domu, wraz z dwiema ładnymi córkami; państwo Strusiowie, posiadacze zadłużonych trochę dóbr w Samborskim po-

wiecie, ona sama żywa, niebrzydka i trochę zalotna, w końcu stary hrabia Murski, zapalony gracz w wista, tworzyli zebranie.

Pani Jadwiga siedziała przy srebrnym samowarze i wykwińskiej zastawie herbacianej; podniosła głowę, gdy nowoprzybyli weszli. Z ujmującym uśmiechem podała rękę doktorowi i poprosiła Waclawa, aby usiadł pomiędzy młodemi panienkami, które znał i które wkrótce obsypały go wyzywającymi pytaniami, co do zbliżającego się maskowego balu. Cała rozmowa w ogóle toczyła się o tym przedmiocie, który zajmował i poruszał całe miasto. Ryciny z rysunkami różnych historycznych i ludowych ubiorów leżały obok na stole, a młode panienki z ołówkami i notatkami w rękę, zajmowały się rysowaniem i zmienianiem ich według upodobania.

Blado-różowe światło starożytnego kształtu lampy, łagodnie przysłoniętej, rzucało tylko półświatło w stronę stołu i na przesłiznięte krzewy, stanowiące tło, na którym rysowała się ujmująca postać Jadwigi. Całe otoczenie ujawniało dostatek i wygodę zarazem. Dywan ciemno-zielonego koloru, z zasianiem na nim drobnymi bukietami kwiatów, okrywał posadzkę tak, że zdawało się, jakgdyby noga stąpała po łące, również ciemno-zielone jedwabne draperie z szerokimi, złotem haftowanymi szlakami, zpoza których wyglądały białe koronki, osłaniały okna, a na powały spuszczał się piękny, starożytny również, pajak brązowy, podtrzymywany niby przez śliczne dziecinne figurki geniuszków, które trzymały w rękę kryształowe matowe kule. W kącie pokoju odpowiadające temu świeczniki, grupy kwiatów, rzeźby i krajobrazy po ścianach, krzesła, stoły, biblioteka dębowa: wszystko to w jednym stylu, a na prawo wielkie podwoje, prowadzące do sali muzykalnej; naprzeciw zaś, na w pół odchyłone a przysłonięte ciemno-zieloną portierą drzwi, prowadziły do słabo oświetlonego budoaru pani domu, który oddzielał salon od reszty apartamentów.

— Wszędzie piękno i zbytek.... Właśnie jak sobie tego życzyła—pomyślał Waclaw, podczas gdy robił ten przegląd.—Ale miała słusność: jest stworzona do takiego otoczenia.

Popatrzył się znowu na nią.—Dziś miała na sobie jedwabną fiołkową suknię, oszytą czarnymi koronkami, a we włosach białą kamelię. Pomimowoli przypomniał sobie jej zamiłowanie do fiołków, jakie okazywała niegdyś, przed laty. Czy też i teraz jeszcze, jak natenczas, zapach ten, przekłada nad wszystkie inne? I byłż to rzeczywistość, że kiedyś wolno mu było w pięknych dniach wiosennych kroczyć koło tej dumnej postaci, i pomiędzy krzakami zrywać dla niej fiołki, które ona potem potrzebowała na malutkiej dłoni z dziecinnym zachwytem i ze słodkim uśmiechem, schylając twarz swoją ponad niemi, poiła się ich wonią.

Zatopił się w morzu marzenia; otoczyły go wspomnienia przeszłości, stojąc przed nim jak żywe. Z oczyma utkwionemi w mały kostiumowy obrazek, który pomimowoli wziął do ręki, czuł w tej chwili, że zwolna wszystko w koło niego utoneło w mgłę, i pozostały tylko dwie postacie: on sam i ta kobieta, naprzeciw niego siedząca, a rozdzielona od niego całym światem. Zdawało mu się, że widzi sklepienie niebios ponad sobą, kwiaty kwitnące, śpiewające ptaki, że lekko dotykającą się ręką dziewczycy czuje na swem ramieniu, a słodki jej głos śpiewa donośnie i słodko:

„Na łące rósł fiołek.“

— Ale Kochany p. Waclawie, oddaj mi nakoniec rycinę i powiedz, jakie kwiaty uważasz tu za najstosowniejsze—ozwała się nagle pani Strusiowa.

— Fiołki!—odpowiedział bez myśli, pod wrażeniem swych wspomnień.

— Fi donc, fiołki do różowego koloru — polne, sentymentalne kwiaty do hiszpańskiego stroju—zawołała piękna pani. Widzę, że pan zupełnie nie zdasz się na nic przy naradach podobnego rodzaju, pomimo pozornie głębokiego przemyśliwania. Fiołki! jak można było wpaść na myśl o fiołkach!

— Książę pan.... oznajmił lokaj w tej-że chwili. Powstano. Waclaw usunął się na bok, lecz gniewny na siebie samego i — na tę, która była powodem nierozsądnego rozmarzenia. Nawet posłał jej groźne spojrzenie za karę. Jadwiga powstała jak i inni, lecz oparła się ręką o stół i tak zlekka pochy-

lona, obróciła się, aby spojrzeć za Waclawem. Spojrzenia ich spotkały się. Strumień upajającej rozkoszy zalał w tej chwili jego serce, ale zarazem uczuł i dreszcz, który przebiegł po całym ciele. Oczy, które na niego w tej chwili właśnie patrzyły, nie należały do tej kobiety, której pamięć z przeszłości zachował: tej młodej, czystej, rozkosznej istoty, której wzrok spoglądał na niego tak słodko, jak miłym był głos, gdy melodya Mozarta uderzała jego ucho:

„Na łące rósł fiołek.“

W tej chwili zdawało mu się, jakoby świat cały wstrzymał się w swym ruchu, jakoby jakiś cud stał się, jak gdyby on sam został zaczarowanym. Ale pomimo to p. Waclaw Stroński skłonił się księciu z przyzwicią sztywnością, a odstąpiwszy od stołu, został natychmiast zapytany przez pana Strusia o zdanie swoje codo bułanego konia pewnego węgierskiego oficera kawaleryi, ponieważ koń ów, był na sprzedaż, a on pragnął go kupić.

Waclaw ujrzał się wkrótce w sali muzykalnej, obok krzesła prezydentowej; grający wista, udali się do pokojów pana domu, a pierwsze tony, rozpoczynające *trio* Beethovena, powróciły mu znowu zupełną spokojność.

Książę siedział przy fortepianie, obok niego dwóch „kapelmistrzów“, jak zwykł był zwać swego nadwornego skrzypka i wiolonczelistę, a p. Strusiowa podjęła się odwracania kartek księżęcemu muzykowi. Jasna blondynka bardzo ładnie wyglądała w białej sukni i długich lokach, jakkolwiek panny Krzeczkowski twierdziły, że jej w tem właśnie nie do twarzy, gdyż ubrała się jak pensionarka. Gdzie była pani domn? Waclaw przedsięwziął sobie weale jej nie szukać. Cóż go to obchodziło, gdzie się znajdowała? Odkrył też ją dopiero później, przypadkiem. Siedziała w najciemniejszym kącie koło kominka, małeńka nóżka spoczywała na taburecie, oświetlona migającym z dołu światłem; nóżka, która zdawała się na to stworzoną, aby postępować po kwiecistej ścieżce, jak niegdyś. Po jakiej-że ścieżce stąpała teraz?

Waclaw zacisnął zęby. Pocóż to pytanie? Dlaczego wspomnienia nie dają mu spokoju? Odwrócił się teraz, począł czynić gorzkie wyrzuty, najpierw sobie, potem tej nóżce w atlasowym trzewiczku, dalej tej sukni fiołkowego koloru, której powłóczyście zwoje wciąż widział.

— Co za podstępna gra, właśnie dziś ubrać się w kolor fiołków—myślał. Lecz może i książę lubi także te małe sentymentalne kwiaty?—dodał sobie z goryczą.

— Jakaż-by to była słabość, jaka niemęczkość dać się podejść takiej prostej zalotności!

I takimi myślami zajęty, wznosił głowę w górę sposobem właściwym swej dumie męskiej i wzywawszy za pomoc całą energię silnej woli, począł przyglądać się pięknym paniom, które kołem przy fortepianie siedziały, w jasnym oświetleniu lamp, niewymuszenie i spokojnie, bez żadnego obłoku zamyślenia na twarzy, nieukazując ani koniuszka nóżek. Słuchały muzyki z pogodą młodości, czystości, dziewictwa, przez żadne sny dawne, żadne żale, żadne wyrzuty sumienia nienaruszonego w swej świeżej piękności: czyż więc nie były godne zająć i wzruszyć mężczyzną, który właśnie powinien szukać w kobiecie—niewinności?

Panienki ze swej strony uważały może, że p. Waclaw Stroński jest weale przystojnym i przyzwiciem wyglądającym kawalerem; przyjęły go też bardzo uprzejmie do swego grona, gdy po skończonym *trio* przysunął do nich swe krzesło i nietracąc ani słowa na pochwałę tylko słyszanej muzyki, zapytał się o teatr amatorski, który miał być, jak słyszał, odegranym wkrótce na cel dobroczynny.

Książę tymczasem zwrócił się ku kominkowi, i wsparty o jego gzyms, zaczął rozmawiać z panią domu. Ona odpowiadała, ani poruszywszy się z miejsca, tylko już Waclaw nie widział małej nóżki na stoleczku.

— Co też oni mają zawsze tak długo do rozprawiania o tej muzyce? — ozwała się starsza panna Krzeczkowska do Waclawa, którego uważała za bardzo pożądanego członka obozu niezapalonych zwolenników muzyki.

— Nasz jaśnie oświecony i ciocia Górzycka nie mogą się nigdy dosyć o muzyce nagadać, a my jesteśmy tak zadowolone, gdy się już raz to skończy.

Sądzę, że posłuchawszy muzyki czas jakiś, można zająć się czemś innem, ale ci państwo mają zawsze i wiecznie coś do mówienia w tym przedmiocie. Doprawdy, dostaje się czasem zawrotu głowy, gdy to trwa wieczór cały.

Waclaw uczuł jak żądło osy w sercu, ale panna Adela Krzeczkowska zapytała go właśnie: czy słyszał już śpiew cici Górzyckiej?

— Widzę panią Górzycką dziś po raz pierwszy w jej własnym domu—była odpowiedź dość sucha.

— Mama mówi, że śpiewa nadto uczuciowo, jak na salon — ciągnęła dalej p. Adela.—Mama uważa że można tak śpiewać tylko w teatrze!

— Co też mówisz, Adelciu! — przerwała młodsza, Cesia—chciałabym bardzo, żebyśmy tak śpiewały; czuję się zawsze tak miło wzruszoną, gdy ją słyszę. Może dziś śpiewać będzie, ale teraz rzadko kiedy śpiewa. Pragnęłabym, aby ją księżę uprosił.

— Słucham jej śpiewu z taką przyjemnością, z jaką czytam zakazaną książkę — dodała, śmiejąc się, ale starsza siostra oburzyła się na nią.—Cesiu, coby to było, gdyby cię mama słyszała! Mówisz tak, jakbyśmy czytywały zakazane książki. Co też p. Stroński o nas pomyśli.

Zanim Waclaw zdołał odpowiedzieć, zrobił się mały ruch w towarzystwie. Pani Jadwiga szła zwolna przez salon ku fortepianowi; książę postępował obok niej.

A więc on ją prosił i ona śpiewać będzie: ta myśl przeniknęła mu serce i napełniła je goryczą. Uczuł przecież zarazem mocniejsze uderzenia serca i jakaś obawa opanowała go. Zdawało mu się, że musi powstać i wyjść, uciekać gdzieś daleko—daleko, najdalej jak można. Gdzie?... było to obojętną rzeczą, byle tylko wyjść z tej sali i z tego domu.

Jakże błogosławił w duszy panią prezydentową, która oświadczyła w tej chwili, że śpiew lepiej wydaje się z dalszych pokoi, i że jej tu w sali za chłodno. Waclaw odprowadził ją do salonu, z którego przeniesiono się tu przed chwilą, doprowadził ją do krzesła, pomógł do włożenia mantyli, a potem, wsunął się po cichu przez otwarte podwoje do budoaru. Tu, odetchnąwszy głęboko, stanął dopiero, i zdawało mu się, że unikał wielkiego niebezpieczeństwa.

Nieduża komnata oświetlona była czerwona lampą. U brzegów brązowo-aksamitnych obić, świeciły szlaki matowego srebra. Stolik z kwiatami, kanapka, biurko, biblioteka i kilka krzesel poręczowych w koło mozaikowego stołu w framudze okna, stanowiły umeblowanie tego ślicznego zakątka.

Waclaw zatrzymał się tuż przy drzwiach obok biurka. Nie można było rozeznąć dokładnie żadnego obrazu, ani przeglądać drobnych, ale wykwińnych cacek; przy mdłym oświetleniu tylko posążek Wenery z Melos, okazał się w swojej imponującej piękności, a obok stał w alabastrowym kubeczku mały, świeży bukietek fiołków, i na ten widok serce poczęło mu głośniejsze uderzać. Odwrócił się jakby przestraszony, zdało mu się, że z tego małego bukietu płyną fale woni, która odurzeniem mu grozi. Fiołki! — wszędzie fiołki.... Kolor ten i zapach byłby w tej chwili na wygnanie skazał. W tem zabrzmiał fortepian. Oddech na chwilę mu się zatrzymał, gdyż głos, lekko przytłumiony, głos, tak dawno niesłyszany, zaśpiewał francuską piosnkę:

— Kiedyż powrócisz, o luby mój!.... Melodya była nieskończenie słodką, łagodną skargą, serdeczną proźbą, po której stale następowała pełna poeichy odpowiedź:

„Wróćę ja, wróćę, o śliczna moja....“

Niewymowna tęsknota okryła jakby zasłoną myśli jego. Ten głos dotykał go jakby ręką pieszczącą i miłości pełną, która go silnie trzymała. Był, pomimo całego wysiłku woli pod urokiem, przeciw któremu żaden opór nie był możebnym.

Pieśń następowała za pieśnią; znane i nieznanne melodye płynęły jedna po drugiej, jakby wijąca się lekko równianka z kwiatów; Waclaw nadśluchiwał jakby we śnie. Nareszcie poruszył się jakby dotknięty rozpalonem żelazem: była to przegrywka do pieśni Mozarta o fiołkach, i wkrótce Jadwiga zaśpiewała:

„Rósł fiołek na łące.“

Coś naksztuł gniewu opanowała go. Ta pieśń!... Dlaczego przypomniała ją sobie? dlaczego ją śpie-

wa? Jak mogła się odważyć? Zalotnica bez serca — zamruczał pół głosem, walcząc z gniewem, który się począł w nim odzywać. — Ale trafi na pierś okrytą pancierzem — dodał. — Dlaczego chce mi przypomnieć czasy, których zapomnienia powinna-by przecież pragnąć silniej, niżeli ja?... Ale wiem: w domu męża bogacza chce tryumfować nad biedakiem, którego niegdyś odrzuciła! Albo może jako kochanek jestem dość dobrym do zabawki i przepędzenia czasu w nudnej porze roku. Książę pan nie jest-że dostatecznie zajmującym?

„Skłonił się i żyć prze stał.

A przecież cieszy się jeszcze....“

Śpiewał z anielską słodyczą głos płynący z daleka.

Te tony i słowa, widok i zapach fiołków, który go otaczał, wzruszyły go do głębi; walka skończyła się niejako, i zamglone słońce dawnej miłości wyjrzało z poza chmury gniewu. Byłby mógł w tej chwili rzucić się do nóg tej kobiety, byłby mógł zapytać, przyciskając ją do swego serca:

— Jadwigo, nie zapomniałaś jeszcze? Czyż nasza pierwsza, nierozważna miłość, już nie żyje? czy nie przetrwała istnienia biednego fiołka? Chciałaś aby skołała, ale ona żyje dotąd?

W oczach Wacława stały łzy gorące. O! teraz tylko rozpamiętywać zdaleka — zdaleka od niej i od ludzi....

Lecz właśnie na przekór ukazuje się przed nim wysoka postać pani prezydentowej i Wacław słyszy słowa: — Jakże ten krótki wypoczynek był mi miłym, kochany panie, proszę, odprowadź mnie pan napowrót do sali muzycznej. Sądzę, że z powodu naszego *tête a tête*, nie będą robić żadnych uwag, — dodała żartując i położyła nieleką rączkę na jego ramieniu.

Zaczarowanie znikło. Wacław podniósł głowę i poprowadził panią Krzeczowską napowrót do sali. Tutaj zebrane towarzystwo podzielone było na grupy. Panna Adela podeszła ku wchodzącym i zapytała: — Oż mi pan powiesz teraz, gdyś już słyszał śpiew cioci? Wiem, że jesteś pan zachwycony? — dodała młodsza siostra. — Naturalnie! — odpowiedział Wacław.

— Jesteś pan barbarzyńcą! — zawołała nagle pani Strusiowa: — Muzyka nie sprawia na panu żadnego wrażenia! widziałam dobrze, jak pan z roz-targnieniem przypatrywałeś się bukietom kwiatowym, malowanym po ścianie, podczas gry księcia, teraz zaś, gdy pani Górzycka śpiewała, uciekłeś pan nawet, aby od pozoru uwagi być wolnym! Może z początku jeszcze się coś obito panu o uszy, ale ostatniej pieśni, założę się, nie słyszałeś już wcale. Zaraz pana wyexaminuję. Proszę pana tylko bliżej, powiedz pan, co opiewała pieśń ostatnia?

— Róże i piękne panie — rzekł Wacław żartując. — Piękne panie i okrutne kolce....

— Mój panie, nie wykrećisz się tak sianem, bo ja pana oskarżę, przed kim należy — rzekła pani Strusiowa, może istotnie gniewna, bo nie rada że Wacław za nadto assistował matce panien: Adeli i Cecylii.

(Dalszy ciąg nastąpi).

VANINA ORNANO

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH

przez

J. K. S.

(Dalszy ciąg).

Scena VIII.

Vanina, Bianka, później Hrabina.

Bianka (wchodzi przedko i spostrzega Vaninę)

Pani moja! co znaczy ten krzyk rozpaczliwy? Gdzież młody małżonek twój? Wszak to jego wołałaś żałośnie, a tylko echo odpowiadało ci „wróć.“

Oh! odpowiedz-że mi, pani moja. Na miłość boską błagam cię, co patrzysz tak nieprzytomnie? To ja, twoja wierna i kochająca Bianka. (Kleka i cabuje ręce Vaniny). Pani moja, powiedz mi co się stało? Ja wysłałam w ogród z hrabiną matką twoją, poszukać ciebie pani, bo stoły do uczyty weselnej już zastawione, gdy nagle usłyszałam rozpaczne wołanie twoje. Hrabina idzie tu za mną....

Vanina

Matka moja.... ah, matka moja tu idzie? (Podnosi się, poprawia rozrzucone włosy i stara się przybrać twarz spokojną).

Hrabina (wchodzi)

Noc chłodna, czemu nie wracasz do pałacu, córko? Co tobie jest? „Czemu tak zbladła? Gdzie jest twój mąż — Vanino?”

Vanina

Ja — zaraz wrócę do pałacu.... tak, wrócę, dla-czegóżbym wrócić nie miała?

Hrabina

Wróć-że — goście zapytują się o ciebie....

Vanina

A goście, prawda — mamy przecież gości....

Hrabina

Właśnie pili zdrowie państwa młodych, a was nie było w sali. To śmieszne, cóż sobie pomysła? ja nie lubię śmieszności.

Vanina

Goście.... pili zdrowie: trzeba im będzie grzecznie i z uśmiechem podziękować — więc idźmy; podziękuję im i nawet uśmiechnę się do wszystkich... O, potrafię.

Hrabina

Co ty mówisz? Słowa twoje dziwne — ale dziwniejsza twarz twoja.... oczy błyszczą gorączkowo, a lica twoje blade.... Czyś ty nie chlora, Vanino?

Bianka

Drży cała....

Vanina

Nie — zdrowa jestem zupełnie, tylko wiatr chłodny wieje ze wschodu, prawda? to wschodni wiatr, dobrze płynąć na zachód....

Hrabina

Co ona mówi? — nie pojmuję. Gdzie jest Sampiero, powiedz mi.

Vanina (mówi pomatu, usiłując zachować spokój)

Signor Sampiero Bastelico, mój mąż....

Hrabina

Gdzie jest?

Vanina

Signor Sampiero Bastelico mój ukochany mąż... odpłynął do Korsyki. (Opiera się o drzewo).

Hrabina

Odpłynął do Korsyki?

Vanina

Odpłynął.

Hrabina

Dzisiaj? tajemnie? w nocy?

Vanina

Signora Sampierra Bastelico, męża mojego, wezwano....

Hrabina

Porzucił dziecko moje! Wzgardził tobą, boś go nazbyt kochała. Odpłynął, porzucił cię ten korsykański rozbójnik! Oto pierwsza kara za to, żeś

swoją wolę przeciwko mojej stawiała, żeś odrzuciła rękę Carla Dorii.

Bianka

Zmiłuj się nad nią: mów do niej łagodniej łaska-wa pani — ona strasznie cierpi.

Hrabina

Niech cierpi — zasłużyła! (Porywa ją za rękę). Pójdź, pójdź podziękuj gościom, co tam stojąc na krążanku, z puhami wina w ręku, wołają głośno: „niech żyją państwo młodzi.“ Pójdź do nich, i powiedz im, że ciebie, ciebie, Vaninę Ornano, porzucił korsykański rozbójnik! No, pójdź zemną!

Vanina

Matko, nie mogę....

Pójdź zemną do kardynała Farnese: on to nie-szczęsne małżeństwo dziś związał, on je rozwiązać musi.

Vanina (z energią)

Ja na to nie zezwolę.... ja go kocham, matko.

Hrabina

Precz — ty wyrodne dziecko! Nie poznaję w tobie dumnej i znacznej krwi rodziny mojej. I ty śmiesz jeszcze mówić, że kochasz go? i ciebie nie oburza to, że cię porzucił? Nie, ty nie możesz być moim dzieckiem; ciebie chyba czarownica podłożyła mi w kolebkę.

Vanina

On po mnie wróci, moja matko.

Hrabina

Wróci? niechaj-że Bóg go od tej myśli strzeże — niechaj mnie nie kusi do złego.... Wróci? powiadasz, tak? Gorzko smakowałby mu puhar, który jabym mu podała! Nie — inaczej się to skończy. Kardynał musi wyrobić rozwód; jeśli nie, sama się udam do Ojca Ś-go....

Vanina

Matko! na rozwód nie pozwolę nigdy.

Hrabina

Ja cię zmuszę, jak się przymusza dziecko chore do lekarstwa.

Vanina

Ja nie pozwolę, sobie wydrzeć szczęścia mojego — ja potrafię je obronić!

Hrabina

Szalona jesteś — ale bądź pewną, że drugi raz woli mojej nie złamiesz.

Bianka (schylając się do kolan jej)

Pani! miej litość....

Vanina

Matko! zamiast utulić dziecko zbolełe w ramionach w twych, ty mnie odpychasz jeszcze i grozisz... (Chmury się gromadzą, noc ciemna; zaczyna grzmieć).

Hrabina

Oto Bóg zsyła burzę, aby ukarać wiarołomcę.... Tak, burza nadchodzi teraz, wichur potarga żagle jego okrętu, jak on potargał wszystkie moje nadzieje; piorun roztrzaska maszty, jak on zniszczył dół dziecka mego. (Grzmot coraz silniejszy). Już wysłannik pomsty Bożej się zbliża.... a teraz, teraz Sampiero, gdy wichur miota twą łodzią po bezbrzeżnym morzu; teraz, gdy piorun drzemiaczy w łonie chmur, przebudził się i krwawym spojrzaniem błyskawic szuka cię w pośród ciemności, teraz, ja cię oddaję szatanom na pastwę, Sampiero, ja cię prze....

Vanina (z krzykiem)

Nie kończ! Sampiero.... ja błogosławie cię! — (Pada zemdlona).

AKT II.

(Scena przedstawia obszerną, ponurą komnatę w domu Sampierrę na Korsyce.—Sofa, stolik, krzesła, na ścianach rozwieszono zbroje; jedne drzwi na lewo, drugie w głąb; na prawo dwa gotyckie okna).

Scena I.

(Wchodzi Vanina w stroju podróżnym, za nią Bianka i Juanitto niosący szkatułkę i inne rzeczy; za nimi Lorenzo).

Vanina (do Lorenza)

Więc pan wasz, a szlachetny małżonek mój, nie jest niebezpiecznie ranny, jak mi o tem donoszono w ostatnim liście?

Lorenzo

Ale nie—chwała niech będzie Bogu i Najświętszej Pannie Loretańskiej! Widzicie, szlachetna pani, tak się w pierwszej chwili, gdy upadł z konia i podniesiono go zemdlonego, zdawało — utrata krwi osłabiła go cokolwiek, ale co to proszę, szlachetnej pani, młodość! Nowa krew wkrótce mężnie napętniła piersi, radość z odniesionego zwycięstwa, stracone powróciła siły, — i po trzydniowym odpoczynku znowu pan mój dosiadł konia.

Vanina

Więc, powtórz mi jeszcze raz, Lorenzo, to, co już mi raz mówiłeś: Bóg dobry ciągle jego orężowi błogosławi; ani razu jeszcze dotąd nie poniósł klęski...

Lorenzo

Ani razu szlachetna pani, ani razu. Zwycięstwo nie odstepuje go na krok; lud go czci i uwielbia — chciał młode jego czoło królewską koroną ozdobić; a każdy jego powrót do Corte, gdzie się zebrał senat i rada, — bo Bastia, a raczej zwaliska jej, dotąd w ręku Genuńczyków, — każdy jego powrót do Corte jest prawdziwie tryumfalnym wjazdem.

Vanina

Oh, kiedyż go zobaczę?

Lorenzo

Nie wiem, szlachetna pani. Czasem długi czas nie widzimy go i nie wiemy gdzie się znajduje, w której stronie kraju walczy; czasem niespodziewanie i nagle zabłyśnie tutaj, jak złoty promień zza chmury.

Vanina (zbliża się do okna)

A może już wraca?...

Lorenzo

Ho, ho, ho! Tak cicho on nie wróci. Okrzyki, którymi go cała ludność Corte wita, aż tutaj dobiegają. Bo to, powiadam pani, starcy, niewiasty, dzieci — młodzież walczy w zbrojnych zastępach — wszyscy zbiegają się tłumnie z radosnymi okrzykami, wielbią i błogosławią.

Vanina (odchodzi od okna)

A więc — nie wraca jeszcze... Wszystko cicho do kofa. Nie wiesz, Lorenzo, w której stronie kraju jest teraz?

Lorenzo

Nie wiem. Myślę, że niedaleko — bo ze szczytu narożnej baszty widziałem dziś najpierwej jednego, a potem drugiego gońca, jak na spienionym rumaku pędził od gór do Corte. Zapewne uwiadamiał senatorów o nowym zwycięstwie.

Vanina

I nie dowiedziałeś się nic pewnego?

Lorenzo

A na co? kiedy ja pewny jestem. Miałem myśl pójść sam do Corte, ale mnie bardzo nogi słuchać nie chcą. I dobrze zrobił, że nie poszedł: któżby tu był szlachetną panią przyjął? Możeby się pani chciała czem posiłnić?

Vanina

Dziękuję ci, Lorenzo: nie posiłku, ale wypoczynku nieco czuję potrzebuję. Lecz polecam ci Biankę i Juanittę: oni może potrzebują posiłku. Ale, ale, Lorenzo, gdzieby te drobiazgi można umieścić? Ja nie znam tego domu.

Lorenzo (wskazując drzwi na lewo)

Te pokoje na mieszkanie pani przeznaczone.

Vanina (siadając na sofie)

To dobrze — zanieście tam te rzeczy i zostawcie mnie samą. Bianco, ty nie odchodź.

(Zanoszą rzeczy do przyległego pokoju; Juanitto i Lorenzo odchodzą).

(Dalszy ciąg nastąpi).

LISTY Z ZAGRANICY

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Człowiek i natura.—Barometr i humor.—Stare nałogi. — Homburg tegoroczny.—Goście jego.—Samotność w tłumie.—Anglicy i Amerykanie.—Patriotyzm niemiecki. Rozbudzenie się przed-wyborcze.—Plakaty. Mali i wielcy w przygotowaniach do wyborów. — Aspekta i wróżby przyszłości. — Traktat handlowy *in spe*.—Literackie sprawy.—Położenie pisarzy i charakterystyka. *Ostatnie kartki G. Sand.* — Ich treść. Teatr marynetek w Nohant.—Wspomnienie o Szopenie.—Improwizacje jego. — Trzy wieczory. — Inne rozdziały Kart Ostatnich.—Charakterystyka Napoleona III. — Pożar teatru w Frankfurcie. — Nowy teatr.—Krezusowie tego miasta.—Wspomnienia przeszłości.

Proszę moich kochanych czytelników, aby mi tego za złe nie mieli, iż zawsze prawie listy moje od meteorologicznych obserwacji zaczynam, ciesząc się piękną, smucąc brzydką, porą, niepokojąc anormalnymi zjawiskami w naturze. Nie wiem: skutek to wieku, który człowieka czyni zależniejszym od wszystkich wpływów zewnętrznych, czy coś właściwego usposobieniu; ale — niepodobna mi być obojętnym na wskazówkę barometryczną, na stan niebios i powietrza. A może — może też to stary nałóg szlachcica-gospodarza, który codziennie, bywało, z ekonomem o jutrzejszej rozprawiał pogodzie i wyciągał wnioski ze snu kur, z aspektu niebios, z rosy, z ptasiego krzyku i zwijających się po ścieżkach śmieciuchów czubatych. — Konieckońcem, choć się dziś siedzi za stołem, na który słota nie spada, którego susza nie wypala, którego urodzaje i klęski od wcale innych zależą obrotów — patrzy się na niebiosy i smuci, gdy niebo zaciągają obłoki. A w tym roku, po tym cudownym Maju, jakiego dawno świat nie oglądał, Czerwiec i oto Lipca połowa, — okropne. Marzniemy i pluszczem się w błocie. W Homburgu, w tym cudnym, spokojnym, wonnym kątku Niemiec, gdzie zwykle o tej porze bywało tak ładnie i miło, patrzyliśmy tylko na zastępy chmur od Taunusu ciągnące, rzadko ranek dozwolił pić wodę bez zalania jej za kołnierz. Anglicy nawet, których tu zwykle tak wiele bywa, pouciekali i towarzystwo całe składali goście z Frankfurtu.

Na posępnych twarzach miejscowej ludności widać było wrazenie słoty i chłodu. Zrana, u Źródła Elżbiety, nie było ścisiku i muzyka grała czując jak niewielu jej słucha... drzemliwie. I było przez tych tygodni kilka tak cicho, spokojnie, oprócz dni iluminacji i fajerwerków, pociągających Frankfurteńczyków, iż nigdzie na świecie chyba lepiej być nie może. W przeszłych ogrodach chodziło się, spotykając tylko podróżujące pieszko kosy i świergoczące wróble.

Ponieważ całe towarzystwo obce składa się przeważnie z Anglików i Amerykanów, nieskłonnych do robienia znajomości, i z Niemców, którzy dziś także z cudzoziemcami się bratać nie raczą, można się było kąpać w tłumie, patrzeć, chodzić i być zawsze z samym sobą. Gdyby nie Anglicy i Amerykanie, umiejący ocenić powietrze to, spokój, woń, piękność krajobrazu, Homburg nie miałby prawie nikogo. Tak tu wszystko nawykło do nich, iż wszyscy mówią po angielsku. W aptece — apostroflowano mnie w tym języku; w księgarni pani Schick mówi jak Angielka; w każdym hotelu jest kilku służących z językiem tym; nawet służba w Cursaalu — odpowiada, nie pytana, językiem John Bulla. Wychowanie młodzieży Homburskiej pochodzi od Goddam — i — niewiem — może na niem kończy. Nadzwyczaj wybitna charakterystyka dozwala wyspiarzy i panów drugiego świata rozpoznać natychmiast i odróżnić od Niemców. Amerykanie mają stroje, twarze i chód sobie tylko właściwy. Życie z nimi (gdy się około nich a nie z nimi żyje) nadzwyczaj swobodne i wygodne; niczemu się nie dziwią, żadna oryginalność ich nie razi, nikim się nie zajmują, i te prawa, o które dla siebie się upominają, przyznają drugim. Niemcy, teraz zwłaszcza, wcale się inaczej znajdują. Byłem świadkiem u stołu patryotycznego głośnego oburzenia jakiegoś kupecyka, który hałasował, że spis potraw był francuzki i znajdował to oburzającym, że sobie Mirlitonu, Vol au vent i Timbale portugaise ojczyzną mową wytłómaczyć nie mógł. Nie zaręczam czy gospodarza, następcę Chevet'a, nie oskarżył do Berlina o — zdradę stanu.

Dowody gorliwości od niejakiego czasu stały się chlebem powszednim, a posuwa się ona do zadziwiających czasem wybryków. Nie śmiem już mówić i przypominać sprawy Pilotego, autora Tusneldy. Podobnych codziennie jest tysiące.

Przed niespełna dwoma miesiącami wszyscy aż do księcia kanclerza uskarżali się na odrętwienie; nieszczęśliwe wypadki, bardzo smutne, bardzo upokarzające, wywiodły z tego uspienia i doprowadziły do gorączki. Jesteśmy w przededniu wyboru posłów do nowego parlamentu, i co żyje, już dziś, na parę tygodni przed stanowczym kresem — zajmuje się tylko głosowaniem. Wczoraj, przejeżdżając około kilku miast niemieckich, i stojąc w Lipsku godzin parę, niemałośmy naliczyli ogromnych odezów poprzylepianych wszędzie, odzywających się do wyborców.

Między temi i charakterystyczne różowe a czerwone widać było, a na jednej z nich na sposób francuzki stało u góry: „Dokąd my idziemy? (*Ou allons-nous?*)”. Plakaty stronnictw zachowawczych są rzadkie; zato, zaczynając od liberalnych i postępowców aż do skrajnych, rusza się wszystko z niewypowiedzianą gorliwością. Wiadomo, że ostatnie wybory, które w Berlinie kilku radykalnych najczerniejszych dały do parlamentu, kosztowały najuboższą klasę, wyrobników, około stu tysięcy marek, sumę ogromną, zważywszy na tych, co ją złożyli. Nieskończenie większymi rozporządzające środkami, stronnictwo liberalne nie zabrało dotąd ani połowy tej sumy na koszt elekcji i poparcie swych kandydatów. Któż wie? być bardzo może, iż Berlin raz jeszcze wybierze w VI okręgu Hasenclevera!

W Dreźnie, według wszelkiego podobieństwa, już ani Bebel, ani Liebknecht, nie mają nadziei przejść przez głosowanie. Zjednoczeni ich przeciwnicy całymi siłami wiodą znane i popularne osobistości. Dreźnie chce się obmyć z tej plamy i sromu, jakiego doznało niedawno.

Jednakże — nie łapmy ryb przed niewodem. Jest rzeczą niezawodną, że ludzie biedni spełniają swe obowiązki polityczne z rodzajem gorączkowej namiętności — gdy część społeczeństwa zamożniejsza nie lubi się facygować dla lada czego i wiele rzeczy, ważnych w istocie, ma — za fraszki. Dzień 30 Lipca będzie ze wszech miar zajmującym ostatnim aktem dramatu, którego sceny pojedyncze odegrują się w tej chwili. Z liczby tych, którzy głosować mają prawo, oddawna pewnie tylu użytku z niego nie czyniło, co teraz.

Ale — nuż deszcz spadnie? a nuż będzie wielkie błoto, — wicher niemiły? Naówczas zachowawcy będą starali się zachować siebie i swe buty przedewszystkiem. To nie ulega wątpliwości.

Drugą okolicznością podającą w wątpliwość: azali kandydaci przyjemni księciu - kanclerzowi wszędzie uzyskają większość, jest to, że — wymaga się od nich głosowania na wszelkie podatki, chociażby one o 200 milionów marek powiększyły ciężar spoczywający na kieszeniach Niemiec. Germanie zaś mają to w naturze, iż najlaskotliwsi są gdy chodzi o — mieszek. Podatek od tytoniu, którego Bismarck wymaga nieodzownie — przeraża ich. Mniejsza już o stempel na karty, o inne tego rodzaju drobnostki; ale tytoni uczynić droższym, tu, gdzie każdy pali, jeżeli „nie z potrzeby to dla mody“, równa się prawie opodatkowaniu piwa! Obłożenie zaś nową opłatą chmielu, siodu — i wywaru z nich — nawet przypuścić się nie daje. Zdaje mi się, że Żelazny Mąż nawet o tem nie myśli.

Obiega tu od kilkunastu dni pogłoska, iż Niemcy spodziewają się nowego i korzystnego dla siebie traktatu handlowego z Rosją. Wątpimy bardzo ażeby ona sprawdzić się miała; lecz nie dla Niemców bardziej upragnionego nad wyzyskanie miejscowych potrzeb i stanu jeszcze nierozwiniętego przemysłu, którego rozpowijaniu się radziby — przeszkodzić. W tę stronę zwracają się oczy i pragnienia; targowicę tę zdobyć — stanowi cel wymarzony oddawna.

Checielibyśmy coś nowego wam powiedzieć o literaturze; lecz oprócz tego, że Gottschalk został uszlachcony, a Lindau ozdobiony orderem i kilkakrotnymi zaproszeniami na wieczory kongresowe — doprawdy, nie wiemy coby warte było zapisania. O uciecie wydanej przez dziennikarzy berlińskich dla reporterów całej Europy, z mowami i toastami makaronicznymi (francuzko-niemieckimi) — już ci pewnie wiecie. Lindau był promotorem tej manifestacji międzynarodowej. Zawsze Lindau. Jestto człowiek talentu, ruchawy wielce, a że się pono wychowywał czy też kończył wychowanie we Francji, ma formy, na których innym jego towarzyszom zbywa. Żona jego i on są też majętni dosyć, a i to się przyczynia do — konsyderacyi. Nie ukazało się żadne arcydzieło — lecz literaci za to w społeczeństwie zaczęli pewne zajmować stanowisko, którego w Niemczech dawniej nie mieli — chyba wyjątkowo. Ton redakcyi, chciałem powiedzieć kamerton — stoi wyżej znacznie. Ale, Panie Boże odpuść, przypomina on mocno intonację młodzieży świeżo emancypowanej albo się emancypującej. Jest w tem coś zielonego, niedojrzałego, butnego, niespokojnego, dziecinnego, co uśmiech wywołuje na usta. Gdy taką zwawą butą młodzieńczą budzi myśl jakaś szlachetna, cel wielki, zadanie idealne, obudza ona poszanowanie i sympatyę, ale zrodzona z pychy i próżności — śmieszna się staje.

Czytając gazety berlińskie, rzekłbyś czasem, że je redagują bursze po — wielkim salamandrze.

Zwróćmy oczy w inną stronę. Oto skromna książeczka ze smutnym tytułem: „Ostatnie Kartki“ (*Les dernières pages*). Dopełnia on dzieł znakomitej autorki, Georges Sand. Karty to są oblane spokojem ducha jakimś przedgrobowym, zdradzające może znużenie, zarazem jednak ciekawe i nie bez wdzięku. Znaczniejsza część tych urywków *Wrażenia i wspomnienia* i *Mieszanie* musiała być drukowana w pismach peryodycznych, lecz była rozpieczętą i dla nas prawie nieznaną.

Mieszanie stanowią wyproszone do dzieł różnych przedmowy i sprawozdania z nich, niektóre bardzo krótkie i obcięte. W pierwszej połowie tomu *wrażenia i wspomnienia* oryginalny jest dodatek do pamiętników *Mon grand oncle*, charakterystyczna rozprawa o maryonetcach w Nohant. Zabawa ta była najmilszą rodzinie autorki; ona sama i syn jej teatrykiem domowym z niesłychaną zajmowali się, można powiedzieć, gorączką.

Z tego, co o maryonetcach pisze G. Sand, widać prawie dla profanów niezrozumiałe przejęcie się sprawą tych scen improwizowanych, i sposobem ich odegrywania. Lalki, ich budowa, mechanizm, stroje, sposób posługiwania się nimi — są tu opisane z drobnostkowością dziwną. Przyznajemy się, że historia teatru dziecinnego w Nohant wielkiego-by dla nas uroku nie miała; lecz winniśmy jej maluczkie wspomnienie o Szopenie, — i to stanowi największą monografię ozdobę.

Pani Sand tak rozpoczyna swe opowiadanie:

„Ze wszystkich sposobów zabawiania się na wsi

i w salonach, najżywsze wrażenie czyni, największe artystyczne znaczenie ma — teatr; czy to muzyka, dramat czy komedia — zawsze on wszystkich do czynu rozbudza i zdolności osób użytych do niego uwytadnia.

„Dla młodzieży płci obojej jest to ćwiczenie umysłu i studjum plastyki. W czasie długich wieczorów zimowych, jest temu lat około trzydziestu, starałam się dla mojej rodziny stworzyć teatrzyk na sposób włoskiej *comedia dell'arte*, to jest złożoną ze sztuk improwizowanych przez aktorów, według treści poprzednio ułożonej i za kulisami przybitą.

„Podobne to było do szarad grywanych w niektórych towarzystwach, rozwijających się mniej więcej według usposobienia i talentu tych, co je przedstawiają. Od tegośmy zaczęli. Wkrótce jednak zadanie szarady znikło; graliśmy szalone saynety, potem komedye intryg i awantur, naostatkiem — dramata pełne przygód i poruszające. Zaczęło się też od pantomin, których pomysł dał Szopen; siadał on do fortepianu i improwizował, a młodzież odgrywała sceny mimiczne i tańcowała komiczne balety. Możecie się domyślać jak te cudne improwizacje, wdzięczne melodye, głowy zawracały i nogi wykonawców rozwiązywały. On niemi według fantazyi kierował, przechodząc, gdy mu się zachciało, z żartobliwego do poważnego tonu, ze śmieszności do uroczystego uczucia, z wdzięcznych motywów do namiętnych.

„Improwizowano stroje, aby móżdż z kolei odegrywać rolę kilka. Artysta, gdy się w nich ukazali aktorowie, cudownie urozmaicał swe temata, akcent i charakter do nich stosując.

„Ciągnęło się to przez trzy wieczory, a gdy mistrz do Paryża odjechał, rzucił nas wszystkich wzruszonych, wyexaltowanych, z mocnem postanowieniem, by nie dać zagasnąć iskierce, która nas zelektryzowała“.

Te improwizacje Szopena dały początek rozwiniętemu później na bardzo wielką skalę teatrowi maryonetek. Zdaje się, że na tym teatrzyku grywaną być musiała maleńka sztuczka, przyłączona do „Ostatnich Kartek“: *Mleczarka i garnuszek mleka*. Jestto jedna scena króciuchna, która przy doskonałej grze artystów mogła zabawić. Nie ma też do niego większego pretensyi. *Noc zimowa* i *Odowiedziny u Błażeja* są prawdopodobnie urywkami jakiejś powieści rozpoczętej i — rzuconej. Ton w nich G. Sand niezwykły, koloryt różny od tego, który inne opowiadania mają; możnaby nieledwie posądzać, że należą nie do ostatnich, lecz do pierwszych kartek — lecz, nadto wprawnie są i mistrzowsko a pewną kreślone ręką. Pierwszy urywek, rozpoczynający zbiór ten, „W lasach“ (*Dans les bois*) tytułem i treścią — osobliwy: rozpoczyna się obrazem z natury, kończy charakterystyką Napoleona III. skreśloną z intuicyją, z mistrzostwem wielkiem.

G. Sand opowiada, jakie z kolei wrażenie na niej czynił Napoleon III w czasie swego więzienia w Ham i — później. „Gdy rozmawiała z nim, gdy go dwa razy w ciągu jednego tygodnia widziała w Elysée — została zupełnie oszukana przez niego, później, postrzegłszy, że została zwiedziona, widzieć go już nie chciałam.

„Wyjechałam z Paryża i nie stawiałam się na czas umówiony. Nie powiedziano mi: „Król o mało nie był zmuszony czekać“, ale mi napisano: „Cesarz czekał“. Pisywałam do niego, gdy się spodziewałam ocalić jaką ofiarę; odpowiedzi jego rozważałam, przypatrywałam się czynom i przekonana jestem, że nikogo oszukiwać nie chciał, a — oszukiwał samego siebie i wszystkich“.

Cała ta charakterystyka jest z chłodną rozwagą i niezmierną trafnością skreślona.

Jeszcześmy byli pod cieniem pięknych Taxodjów Homburskich (*Taxodium distichum*) — gdy przybito na tablicach wiadomość, że w chwili rozpoczęcia przedstawienia Meiningerów artystów *Matki Rodu* Grillparzera, teatr się zapalił — i spłonął. Widzę z dzienników, iż pożarowi temu nadano rozmiary znaczniejsze niż miał w istocie. Artysty mało utracili, a na budynku dach spłonął tylko. Zalano wodą całe wnętrze, które niewiele ucierpiało, a gmach za parę miesięcy nanowo otwartym zostanie. Bardzo piękny teatr nowy, na

którego czole stoi, iż ma być poświęcony „prawdziwemu dobru i pięknu“ jest też na ukończeniu.

Widać we Frankfurcie, iż był Rotschildów oczyną. Wszystko tu, co prywatni ludzie przedsięwzięli jest na skalę pańską i niezmiernie wytworne. Ogród palmowy tylko właściciele willi z ulicy Bockenheimskiej mogli sobie stworzyć i utrzymać. Znać i czuć zamożność, pańską, a ludzie najmajętniejsi, których się spotyka w Homburgu, są powierzchowności bardzo skromnej i niepozornej. Nie zaręczylibyśmy, że do dziś dnia wspomnienie dawnych swobód i przywilejów westchnienia z pierśi wyrwa; ale opowieść Dumasa — dawno należy do przeszłości, do której się nikt nie przyzna.

NOWINY PARYZKIE.

Paryż 6 Lipca 1878 r.

Kongres literacki międzynarodowy w Paryżu

(Dokończenie).

Tu zabrał głos Wiktor Hugo. Raz pierwszy ja i wszyscy prawie przytomni słyszeliśmy go przemawiającego z pamięci, bez notatek, bez żadnych papierów. Spokojnie, poważnie siedząc, Hugo zamimprowizował swój wykład o własności literackiej w tak jasny i skromny sposób, że nawet nie dzielając jego zdania trzeba go było podziwiać. Ani słowa próżnego, najmniejszej politycznej alluzji, ani cienia goryczy lub wyrzutu. Nic, tylko rzecz sama, doświadczenie i rozum.

Hugo zaraz na wstępie powiada, że w sprawie literackiej własności widzi wobec siebie dwie tylko osobistości: autora i publiczność, a raczej prawo publiczności. Co zaś do successorów, przyznaje im Wiktor Hugo jedynie prawo ciągnięcia pieniężnych korzyści z dzieł spadkodawcy. Nie mogą oni, i nie powinni, się dotykać w żaden inny sposób do tych dzieł, czy to, aby je usuwać przed publiczność, czy też, aby je zmieniać lub obcinać według swego widzimisię.

Sam autor, mówił dalej, mniej ma prawa do swych dzieł niżeli publiczność, gdy raz bowiem ogłoszone zostaną drukiem, niezdolny on jest ani ich zniszczyć, ani zmodyfikować. Póki dzieło jest w manuskrypcie, może je autor zniszczyć i spalić, ale raz wyszłe na świat staje się już własnością wszystkich. Daremnie, powiada, Molière chciałby wyciągnąć z obiegu swego „Świętoszka“: publiczność odpowiedziałaby mu: — „Stój! dałeś mi go i on zostanie moim“. Hugo wyznaje następnie, że sam dawniej był monarchistą i gorącym katolikiem. Wiek i wygnanie zmieniły te opinie, przecieżył on ich nie wyrzeka i nie chce skrobać własnego sumienia. Niegdyś, powiada Hugo, jam w gwałtownych słowach dotknął jednego z urzędników cesarstwa (była tu mowa o p. Baroché'u). Człowiek ten miał syna, który w czasie ostatniej wojny był się jak bohater i zginął na polu sławy. Pragnąłem wówczas zmasać te karty dotyczące się jego ojca; zdołałem przeszkodzić, aby w teatrach, gdzie moje poezye czytano, imię to nie było wspomnianem, ale nie w moich było to siłach zniszczyć egzemplarze, w których imię to wydrukowanem zostało.

Wszystko to wygłosił W. Hugo z dziwną prostotą i niesłychanym spokojem. Mówca dotknął następnie samej własności literackiej. Autor umiera, powiada, książka jego przechodzi na własność publiczności. Wydawca bierze ją i robi nowe wydanie. To powinno być prawem zawarowane. Mówca wymaga jedynie, aby wydawca zeznał, ile go będzie kosztował nakład i za jaką cenę myśli sprzedawać książkę. Różnica pomiędzy ilością nakładu i dochodem sprzedaży jest zarobkiem czytym, od którego wydawca winien zapłacić 5% czy 10%, według układu z następcami autora.

Kończąc, Hugo powiada: „Wiem ją dobrze, że ten układ, tak prosty, znajdzie przeciwników, ale powiadam wam, że to jest rozwiązanie, które na-

stąpić musi koniecznie. Ma ono przed sobą przyszłość, a przyszłość jest cierpliwą—przyszłość ma czas!”

To przemówienie, okryte oklaskami, zakończyło posiedzenie, którego dalsze dyskusje odesłano do przyszłej sessyi.

Na następnych zgromadzeniach cząstkowych drugiej i trzeciej kommissyi—24 i 26 Czerwca—roztrząsano propozycję Wiktora Hugo i wnioski samychże kommissyj. Propozycja Wiktora Hugo spotkała prawie powszechny opór, jako zbyt radykalna, a conajbardziej, niepraktyczna. „Jako! mówił między innymi Calmann Levy (wydawca), janabywam od Balzaca, naprzykład, własność dzieł jego na lat kilkanaście za gotową brzęczącą monetę; płacę mu ogromną sumę: w tem Balzac umiera i wszyscy moi koledzy mają prawo, za błahe jakieś wynagrodzenie, dane successorom, publikować też sam dzieła tak drogo nabyte przezemnie. To rzecz niemożliwa! W cóż się obróci wówczas prawie zawarty z nim mój kontrakt? Ja starałem się z mej strony wykazać niepraktyczność i niepodobienstwo dla successorów obrachunku z wydawcami, gdyż ci być mogą nietylko w kraju, ale za granicą. Słowem, kommissya druga wróciła do dawnej redakcyi p. Colliera i poruczyła jednemu ze swych członków ułożenie raportu. Rapport ten odczytano i przyjęto we Środę. Walne Zgromadzenie wyznaczone zostało na Czwartek dnia 27 Czerwca.

Posiedzenie to odbyło się pod prezydencją pana Turgeniewa, przy którym zabrał miejsce p. Mendès-Leal, pełnomocnik Portugalski w Paryżu. Roztrząsano najpierw kwestyę utworzenia międzynarodowego towarzystwa literackiego, popieraną gorąco przez referenta trzeciej kommissyi, pana Lermína. Towarzystwo to ustanowione pod prezydencją, zawsze Wiktora Hugo, miało się rozdzielić na sekcye narodowe każdego kraju, rządzić się jednym i tymże samym regulaminem i każde w swym kraju bronić praw i prerogatyw piszących. P. Jerrold, delegat angielski, popiera ten wniosek i żąda, aby postanowiono, iż w roku przyszłym kongres międzynarodowy literacki zgromadzi się w Londynie. Obie te propozycje, przyjęte przychylnie, odesłane zostały do kommissyi trzeciej pod rozpatrzenie i rozbiór.

Tymczasem dyskusya się rozpoczyna nanowo tak o własności literackiej, codo czasu jej trwania jakoteż i codo jej praktycznego użytku we własnym i w obcych krajach. W liczbie mówców zabrał głos pełnomocnik Portugalski pan Mendès-Leal i w wybornej mowie wyłożył stan dzisiejszy tej kwestyi codo tłumaczeń i przyswajania dzieł w obcych językach. Zakończył deklaracją ważną, iż rząd Portugalski z całego serca gotów jest popierać życzenia i projekta towarzystwa i kongresu literackiego.

Nakoniec zgromadzenie wezwane zostało do głosowania nad wnioskiem drugiej kommissyi, zamykającym w sobie dwa następne punkta: 1) Wszelki utwór literacki, scienceficzny albo artystyczny, będzie ulegał w każdym innym obcym kraju tymże samym prawom, jakim ulegają dzieła narodowe. 2) Aby protekcya tego rodzaju była mu zapewnioną, dosyć będzie, aby autor dopełnił zwykłych formalności będących w użyciu w kraju, gdzie dzieło jego poraz pierwszy ukaże się na świat.

Chociaż Zgromadzenie przystaje w gruncie na ten wniosek i przyjmuje redakcyę kommissyi, przecież ze względu na spóźnioną porę ostatnią decyzję odsyła jednogłośnie do przyszłego posiedzenia w Sobotę d. 29 Czerwca.

Jestto ostatnie posiedzenie kongresu literackiego. Odbyło się ono, jak poprzednie, pod prezydencją p. Turgeniewa i w asystencji p. Mendès-Leala, pełnomocnika portugalskiego, Abouta, Gonzalesa i t. d. Zgromadzenie, wezwane do ostatecznego głosowania codo dwóch artykułów wniosku drugiej kommissyi, przyjmuje je z dodaniem do pierwszego następującego warunku: „Toż samo się rozumie i o dziełach dramatycznych i muzycznych“.

Nakoniec kwestya tłumaczeń w obcych językach dała powód do żywej i bardzo zajmującej dyskusyi. Po długich sporach zgromadzenie postanowiło, że codo tłumaczeń i przyswojenia

(*adaptions*) traktaty handlowe międzynarodowe zapewnią pisarzom wyłączne prawo upoważniania wszelkiego tłumaczenia lub przyswojenia. — Na przyszłość konwencye literackie powinny być zawierane odrębnie od wszelkich handlowych traktatów.

Wskutek poprzedniego rozporządzenia kongresu p. Lermína czyta projekt utworzenia Towarzystwa literackiego międzynarodowego. Projekt, długi i trochę zawity, między innemi rzeczami stanowi, że stowarzyszenie owo będzie miało obowiązek wspierać i wspomagać piszących we wszystkich krajach. Zgromadzenie, niechcąc i niemogąc stanowić ostatecznie o tak obszernej i trudnej kwestyi, decyduje wybór honorowego komitetu, któremu porucza rozpatrzenie tej sprawy. Wybrani zostali: prezesem Wiktor Hugo, członkami pp. Turgeniew, Mendès-Leal, Mauromacchi, About, Gonzales i t. d., razem dwudziestu członków, pomiędzy którymi największą część Francuzów. Poczem p. About w krótkiej, grzecznej i gościnnej przemowie zamknął posiedzenie kongresu przy głośnych i żywych oklaskach zebranych delegatów.

Na tem skończył się ten pierwszy literacki kongres. Uznanie za *prawną i legalną* literackiej własności, wskazanie podstawy, na której opierać się powinno we wszystkich krajach użytkowanie z tej własności: oto są pierwsze kroki, pierwszy brzask tej jutrzynki, która oświeci z czasem zupełny rozwój tej myśli. Przyjdą inne, nowe zgromadzenia i narady; rzecz się wyjaśni, sprostują się niepewne pierwsze kroki i kiedyś oddadzą cześć i chwałę tym, co pierwsi przyłożyli rękę chętną do tego dzieła, które jest dziełem przyszłości; a jak mówił Wiktor Hugo, przyszłość może czekać — bo przyszłość ma czas przed sobą“.

HISTORIA ZBRODNI

T O M II.

ZAKOŃCZENIE.

U p a d e k.

(Dokończenie).

Król, człek szorstki a dobroduszny, dał poznać cesarzowi współczucie, mimowoli okrutne. Są litości przyniatające. Zwycięzca wyrzucał zwyciężonemu zwycięstwo. Porywczosć źle się obchodzi z żywą raną. Co za myśl miałeś w wywołaniu tej wojny?! — Zwyciężony tłumaczył się, obwiniając Francją.

Odległe *hurra!* niemieckiej armii zwycięskiej, przerwały ten dyalog.

Król kazał odprowadzić cesarza przez oddział gwardyi królewskiej.

Ten nadek obelgi nazywa się: „eskortą honorową“.

Po szpadzie,—armia.

D. 3 Września, zostało dopełnionem przez Bonapartego wydanie Niemcom ośmdziesięciu trzech tysięcy żołnierzy francuzkich.

„Nadto (mówi raport pruski)

„Orła i dwóch sztandarów,

„Czterystu dziewiętnastu armat polowych i kartaczownic.

„Stu trzydziestu dziewięciu armat zwykłych.

„Tysiąca siedmdziesięciu dziewięciu wozów wszelkiego rodzaju.

„Sześćdziesięciu tysięcy karabinów.

„Sześciu tysięcy koni, jeszcze zdolnych do użytku“.

Tym liczbom niemieckim brak ścisłości. Według tego czy wydaje się to chwilowo użytecznem, kancelarye zwiększają albo ograniczają klęskę. Liczby zmieniają się i różnią w dokumentach urzędowych.

Jeden z raportów pruskich, dodając żołnierzy francuzkich rannych albo zabitych w bitwie pod Sedan, ogłasza całosć na *Szesnaście tysięcy czterysta ludzi!* Cyfra ta wstrząsa dreszczem.

Taka była cyfra, t. j. 16,400, której Saint-Arnaud użył na bulwarze Montmartre w d. 4 Grudnia.

O pół mili od Sedanu, na północo-zachód, w pobliżu Iges, Moza tworzy półwysep. Kanał przerzyta na ujście, tak, że półwysep jest wyspą. Tam-to zbito w kupę, pod laską kaprali pruskich 83,000 żołnierzy francuzkich. Kilka wart pilnowało tej armii. Umyslnie i zuchwale, kilka tylko ustawiono. Ci zwyciężeni pozostali tu dziesięć dni: ranni, prawie bez pomocy; zdrowi, prawie bez pożywienia. Armia niemiecka naokoło nich, śmiała się szyderczo. Niebo się w to wmieszało, bo słońce było okrutną.

Ani baraków, ani namiotów. Ani ogniska, ani wiązki słomy. Przez 10 dni i 10 nocy, tych 83,000 więźniów biwakowało z głową na deszczu a nogami w błocie. Wielu umarło z febry, żałując kartaczy. Nareszcie wagony od bydła przybyły i zabrały ich.

Król posadził cesarza —gdziebądź. W Wilhelms-höhe.

Cóż za łachman taki cesarz!

8.

Byłem tam, zamysłony. Patrzałem na te doliny, na te strumienie, wąwozy, drząc cały. Gotów byłbym znieważać, mimowoli te straszne miejsca.

Ale święty wstręt mnie powstrzymywał.

Szef stacyi w Sedan, doszedł aż do mego wagonu i objaśniał mi to, co miałem przed oczami. Zdało mi się, że po przez jego opowiadanie, widzę blade błyski batalii. Wszystkie te szafasy dalekie, rozrzucone a urocze przy blasku słońca, paliły się; teraz je odbudowano; natura tak szybko, wszystko naprawiła, oczyściła, wymyła i na dawne wstawiła miejsce. Popłoch dziki ludzi znikł, porządek wieczysty wziął górę. Lecz, jak rzekłem, mimo, że słońce było piękne, cała ta dolina wydawała się zadymioną i ciemną. W oddali, na wzgórzu po lewej stronie, ujrzałem wielki zamek; było to Vandresse. Tam mieszkał król pruski. W podłuż drogi rozróżniłem ponad drzewami trzy szczyty zaostrzone; to inny znowu zamek: Bellevue.

Tam-to L. Bonaparte poddał się Wilhelmowi, tam-to wydał naszą armię wrogowi, tam-to, nieprzyjęty odrazu, poproszony o trochę cierpliwości, przeczekał godzinę, niemy i trupio-błady pod drzwiami, przynosząc swoją haubę, i czekając aż się spodoba Wilhelmowi otworzyć mu drzwi; tam-to król pruski, zanim go przyjął, kazał wycierać przedpokój szpadzie Francyi.

Trochę niżej, w dolinie, przy wejściu na drogę, prowadzącą do Vandresse, pokazywano mi coś, niby zabudowanie. Tu—mówiono mi—czekając króla pruskiego, zeszedł cesarz Napoleon III zzieleniał; wszedł na małe podwórko, które mu wskazało, a gdzie pies na łańcuchu warczał; usiadł na kamieniu blisko kupy gnoju i rzekł: Pić mi się chce. Jeden z żołnierzy pruskich przyniósł mu szklanekę wody.

Straszliwy koniec zamachu stanu. Krew wypita nie zaspakaja.

Musiła przyjść godzina, w której nieszczęśliwy wyda okrzyk gorączki i konania.

Hańba zachowała dlań to pragnienie, a Prussy tę szklanekę wody.

Ponad drogą, o kilka kroków odemnie, pięć topoli zakrywało fasadę domu, którego jedyne piętro miało szylt. Na tym szyldzie, stało napisane dużemi literami: *Drouet*. Byłem w obłędzie. *Drouet* przeczytałem: *Varennes*. Tragiczny przypadek, łączący Varennes z Sedan, chciał jakgdyby skonfrontować obydwie katastrofy i związać razem jeden łańcuch: cesarza, więźnia obcego, i króla więzionego przez lud swój.

Ciemność marzenia zasłaniała przedemną tę dolinę. Moza, wydawało mi się, że odbija promień-

mi czerwonymi; wyspa sąsiednia, której zieloność podziwiałem, miała za podwalinę grobowisko 1500 koni i tyluż ludzi było tam pochowanych, dla tego trawa tak gęsta. Tu i ówdzie ukazywały się w dolinie wzgórza z dziwną vegetacją, każda z tych vegetacji znaczyła miejsce zakopanego w grobie pułku. Tu została zniszczoną brygada Guyomar, tam dywizya Lheritier; tu zginął siódmy korpus; tam, niebędąc w możności nawet zacząć nieprzyjacielską piechotę, padła „pod ogniem spokojnym“, jak mówi raport pruski, cała kawalerya generała Margueritte. Z tych dwóch najwyższych wzgórz, Daigny nawprost Givonny, które ma 276 metrów, Fleigneux nawprost Illy, które ma 296 metrów, miażdżyły armię francuską baterye gwardyi królewsko-pruskiej.

Robiło się to z góry, ze strasliwym naciskiem i powagą przeznaczenia.

Zdawało się, że tam umyślnie przyszli, jedni ażeby zabijać, drudzy, ażeby umrzeć. Moździerz który jest doliną, tłuczek moździerzowy, który jest armią niemiecką: oto i bitwa Sedańska. Patrzałem, niemogąc oczu oderwać, na to pole zniszczenia, na te załomy ziemi, które nie uchroniły naszych pułków, na ten wawóz, w którym się zapadła nasza kawalerya, na cały ten amfiteatr, na którym się rozpościerała katastrofa, na te urwiska, przepaści, lasy pełne zasadzek, a w tym strasliwym cieniu, widziałem Ciebie, o Ty Niewidzialny!

9.

Nigdy upadek nie był bardziej druzgoczącym.

Niema pokuty równej tej. Ten dramat niesłychany pięć ma aktów, a tak dzikich, że sam Eschyl nie śmiałby o nich zamarzyć. *Zasadzka. Walka. Rzeź. Zwycięstwo. Upadek.* Jakież to węzeł i jakie rozwiązanie! Poeta, któryby to był przewidział, wydałby się zdrajcą, Bóg tylko mógł sobie pozwolić na Sedan.

Wszystko ułożyć w proporcji, oto Jego prawo. Na coś gorszego od Brumaire'a, trzeba było czegoś gorszego od Waterloo.

Napoleon pierwszy postawił czoło przeznaczeniu; nie został shańbiony przez cierpienia, jakie znieść musiał; upadł, patrząc śmiało na Boga. Powrócił do Paryża, rozprawiając o ludziach, którzy go wyrócili, rozróżniając dumnie pomiędzy nimi, szanując Lafayette'a a pogardzając Dupinem. Chciał aż do ostatniej chwili widzieć jasno los swój, nie dał sobie zasłonić oczu; przyjął klęskę, podając jednak swe warunki.

Tu—nie podobnego.

Możnaby powiedzieć, że zdrajca padł zdrańdziecko.

Jestto nędznik, który czuje rękę losu a nie wie co mu wyrządzono. Stał na szczycie potęgi jako ślepy pan niedorzecznego świata. Zyczył sobie plebisycytu—miał go.

Miał u swych stóp tego samego Wilhelma. I w tej oto chwili, schwyciła go nagle zbrodnia.

Nie bronił się — był skazańcem, który ulega wyrokowi.

Poddał się wszystkiemu, co los strasliwy chciał od niego. Trudno o cierpliwszego pacjenta.

Niemając armii, zaczął wojnę; mając jedynie tylko Roubera, wyrwał Bismarcka; mając jedynie tylko Leboeuf'a, uderzył na Moltkego. Powierzył Strasburg Urychowi a dał w opiekę Metz Bazaine'owi. Miał sto dwadzieścia tysięcy ludzi w Châlons, mógł zasłonić Paryż; lecz czuł, że tam jego zbrodnia

staje przeciw niemu groźnie, więc uciekł z Paryża; sam poprowadził, umyślnie i pomimowoli, chcąc tego i niechcąc, wiedząc o tem i niewiedząc, — nędzny umysł nad otchłania, — armią swoją w miejsce zniszczenia; wybrał to miejsce okropne pola walki bez wyjścia, stracił już wszelką świadomość winy swojej obecnej i zbrodni dawniejszej: potrzeba było skończyć, — lecz on nie mógł inaczej skończyć tylko jak uciekający. Ten skazaniec nie był godnym popatrzeć oko w oko swojej doli; pochylił głowę, odwrócił plecy, a Bóg go wysłuchał poniżając go. Napoleon III jako cesarz miał prawo do pioruna, lecz dla niego piorun był spodleniem; spiorunowany więc został z tyłu.

10.

Zapomnijmy o tym człowieku a przypatrzmy się ludzkości.

Zajęcie Francji przez Niemcy w r. 1870 należało do efektów nocnych. Świat się zadziwił, że tyle cienia mogło się wysnuć z jednego ludu. Pięć miesięcy czarnych — oto oblężenie Paryża. Wytworzyć noc, może to dowodzi potęgi, ale sławą się zowie: wytworzyć dzień.

Francja wytwarza dzień. Ztąd jej bezmierna popularność.

Cywilizacya zawdzięcza jej jutrzence. Umysł ludzki chcąc widzieć jasno, zwraca się ku Francji. Pięć miesięcy ciemności: oto co się Niemcom udało w r. 1870, gdy ją dały narodom; Francja, co prawda, dała im cztery wieki światła.

Dzisiaj świat cywilizowany, czuje więcej niż kiedykolwiek potrzebę Francji. Francja odbyła już swą próbę przez swe niebezpieczeństwo. Niewdzięczna apatya rządów, zwiększyła tylko niepokój narodów. Na widok zagrożonego Paryża uczuły ludy dreszcz i trwogę. Czyż pozwoli się działać swobodnie Niemcom?

Lecz Francja uratowała się sama. Potrzebowała tylko powstać. *Patuit dea.*

Dzisiaj większą jest niż kiedykolwiek. To, co byłoby zabiło każdy inny naród, ją zaledwo zraniło. Zaćmienie jej widnokregu, uwidoczniło bardziej jeszcze jej światło. To, co straciła na terytoryum, zyskała na blasku. Więc też jest i dalej braterską bez wysilenia. Ponad jej nieszczęściem jest jej uśmiech.

Nie nad nią to ciąży cesarstwo gotyckie. Ona jest narodem złożonym z obywateli, a nie trzodą poddanych.

Granice? Czyż będą istnieć granice za lat dwadzieścia?

Zwycięstwa? Francja ma w swojej przeszłości zwycięstwa wojny, a w przyszłości zwycięstwa pokoju. Przyszłość należy do Voltaire'a. Przyszłość należy do życia a nie do śmierci.

W polityce przeciwnej Francji, tkwi coś pogrobowego. Szukać życia w starych instytucjach rzeczą jest prózną, a żywić się przeszłością, jestto zagryzać popiół. Francja ma zdolność niesienia oświaty i żadna klęska militarna czy polityczna, nie odbierze jej tej tajemniczej wyższości. Skoro obłok znika, znów widać gwiazdę.

Gwiazda nie żywi gniewu; jutrznia nie czuje nienawiści. Światło zadawalnia się tem, że jest światłem. Światło, to wszystko, — rodzaj ludzki nie ma innej miłości. Francja czuje, że jest kochaną, bo jest dobrą, a najwyższą ze wszystkich potęg jest: być kochanym.

Sprawiedliwość — to głębia człowieka; prawda —

to głębia Boga. Co tu począć z przeobrażeniem tak rozumnym? Nic?

Kochać je. Tak też czynią narody. Francja się daje z ufnością, a świat ją przyjmuje. Cała zagadka dzisiejsza leży w tych kilku słowach. Można opór stawiać najazdowi armii, nie można go stawiać najazdowi idei. Chwała barbarzyńców polega na tem, że ich zjednała ludzkość; chwała dzikich, że ich zjednała cywilizacya; chwała ciemności, że je rozświeciła pochodnia. Dlatego-to Francji życzą sobie wszyscy. Dlatego-to ona, niezwykłe żadnej nienawiści, nie czuje żadnej obawy; dlatego-to jest ona braterską i macierzyńską, dlatego niepodobna jej umniejszyć, niepodobna upokorzyć, niepodobna rozgniewać; dlatego po tylu doświadczeniach i przejściach, po tylu klęskach i nieszczęściach, po tylu upadkach, — ona, niedosięgnięta i niepodlegająca zepsuciu, podaje rękę wszystkim ludom, z wysokości.

Kiedy się wzrok zatrzyma na tym starym kontynencie, poruszonym dzisiaj nowym podmuchem, ukazują się pewne zjawiska i zdaje się, że dostrzegamy coś tajemniczego a dostojnego — tworzenie się przyszłości. Można rzec, że, jak światło składa się z siedmiu kolorów, tak i cywilizacya składa się z siedmiu ludów. Z tych ludów, trzy: Grecya, Włochy i Hiszpania, przedstawiają południe; trzy: Anglia, Niemcy i Rossya, północ; — siódmy albo pierwszy Francja, która jest północą zarazem i południem, Celtem i Latynem, Gotem i Grekiem.

Kraj ten zawdzięcza swemu niebu ten wspaniały wypadek skrzyżowania się dwóch promieni. Skrzyżowanie się dwóch promieni, to tak jakgdyby powiedziano: połączenie się dwóch rąk, czyli pokój.

Takim jest przywilej Francji: jest ona słoneczną zarazem gwiazdą; ma na swoim niebie tyle świtu, co wschód i tyle gwiazd, co północ. Czasami w ciemnościach wznosi się jej światło, a w czarnej nocy rewolucyjnej i wojen blask jej się rozplamienia.

Niedługo nadejdzie dzień, w którym siedm narodów stanowiących ludzkość połączy się i zleje, tak jak owych siedm kolorów pryzmatu w promieniejącej krzywiznie niebieskiej; cud pokoju ukaże się wiecznym i widocznym ponad cywilizacyą, a świat społeczny olśniony, patrzeć będzie na olbrzymią tęczę Ludów — złączonych Europy!

* * *

Tym szumnym, zużyтым, a mimo to mistycznym fajerwerkiem, jak zwykle; zakończy W. Hugo *Historję Zbrodni*. Część ta ostatnia, poczynająca się od tytułu: „Upadek“, niby w przeciwieństwie do tamtych, teraz dopiero napisana, sprawia jednak pod względem stylu i tonu, wrażenie tożsamości z tamtymi całymi dwiema księgami. Nie mówi ona też nic nowego, nie nawet pod względem obrazowym zajmującego. Bardzo to wreszcie naturalną rzeczą, wyciągać horoskop i nawiązywać go z początkiem cesarstwa drugiego, już po jego wiadomym upadku. Zapewne — i nikt nas pewnie o to nie posadzi, iżbyśmy tu chcieli usprawiedliwiać najmniej choćby, zaczątek, błędy i grzechy panowania Napoleona III, — ale i to pewna, że wina Sedanu spływa nie na niego samego wyłącznie. Może i temperament narodowy, nieukołysłany żadną formą rządu od blisko stu lat, tego jest przyczyną.

E. Lubowski.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się arkusz 29-ty powieści pod tytułem: *Zamek Daly*.

TREŚĆ. Powrót, (poezja), z Heyne'go. — Dwaj myśliciele francuzcy z XVIII wieku, (dalszy ciąg), przez S. K. — Połączeni na zawsze, powieść El. polko, tłóm. przez Ewelinę Kłóskowską. — Vanina Ornano, dramat, (dalszy ciąg), przez J. K. S. — Listy z zagranicy, przez J. I. Kraszewskiego. — Nowiny aryżkie, (dokończenie). — *Historja zbrodni*, W. Hugo, (dokończenie), przełożył Edward Lubowski.